

JULES CLARETIE.

Tajemniczy oskarżyciel.

Tłumaczyła z francuskiego: MARYA SEGENY.

12 — Zapierał się i gniewał nawet, że podejrzewam go o takie rzeczy. Ja jednak nie wierzyłem mu i trwałem w swoim przekonaniu. Smutek jego, przechodzący już w dziką mruklwość, mógł mi podsunąć łatwo podobne myśli. Zmartwienie dziwnie niszczy człowieka! Zresztą nie on jeden chodził ze swoim smutkiem po świecie! Są tacy, którzy się śmieją, a których dusza bardziej chora, niż gdyby łzy wlewali.

Głos Jerzego Montin zabrzmiął tak rozpaczą i zniechęceniem, kiedy to mówił, że pan Ginory znowu spojrzął na niego z gorącym współczuciem i litością.

— Nie będę wspominał — mówił tymczasem Montin — o wszystkich szczegółach naszego życia. Rozmowa nasza za długo by potrwała. Kiedy lata naszej młodości radosnej ubiegły bezpowrotnie, spotkał się znowu z R. verem. On był zmieniony do niepoznania. Zmęczony, pragnący tylko spokoju. Wybrał sobie to ciche mieszkanie na bulwarze Clichy, zdala od zgiełku miasta i zagrzebał się w niem do końca dni swoich, przesiadując długie godziny przy kominku, w otoczeniu obrazów swoich i książek ulubionych. Wychodził bardzo rzadko w dni pogodne, aby zaczerpnąć trochę świeżego powietrza. Ja zaś prowadziłem dalej moje nędzne życie, ogłuszając się, pokrywając sztucznym humorem ogarniającą mnie apatię. A przecież tyle sił niespożytych, tyle energii czułem w sobie, tylko zepchnięty raz z dobrej drogi nie umiałem i nie miałem dla kogo ich zużytkować.

— Podziwiałem już tę energię pana i moc panowania nad sobą. — przerwał żartobliwie pan Ginory.

Jerzy Montin uśmiechnął się smutnie.

— Chciałem całą siłą bronić cudzej sprawy — odpowiedział — ale i to nie powiodło mi się. R. ver serdecznie i delikatnie starał się wpłynąć na moje usposobienie, napominał mnie, gderał i gniewał się nawet. Nie zwracałem na to uwagi i często zachodziłem do niego na wieczorną pogawędkę przy kominku, w której wspominaliśmy lata młode, razem przeżyte. Wiem, że uczyniłem mu raz wielką radość, ofiarując portret swój, malowany przez Pawła Baudry. Było to już dawno, bardzo dawno! Powiesił go w swoim salonie, niedaleko kominka i często mawiał do mnie:

— Wiesz, Jerzy, jak cię niema, a brak twój za- nadto mi się odczuć daje, rozmawiam z tym portretem, jak z tobą. A wóczas właśnie rzadko prze- bywałem w mieszkaniu Rovera przy bulwarze Clichy. Życie Paryża porywało mnie to w tę, w ową stronę. Te dnie, które tak długie mi się być zdawały, kiedy miałem lat dwadzieścia — uciekały teraz z przed oczu moich z przerażającą szybkością. Tak mnie to gorączkowe, szybkie życie całkowicie absorbowowało, że nie miałem czasu poświęcać się więcej mojemu przyjacielowi i zjawiałem się u niego coraz rzadziej. Jakże ja teraz tego żałuję! Bo, gdybym był więcej wglądał w jego życie, więcej zajmował się nim, może to straszne nieszczęście nie byłoby nastąpiło.

— Tak pan sądzi? — zapytał z zainteresowa- niem pan Ginory, patrząc pytająco na Montin'a.

— Tak i czynię sobie teraz gorzkie wyrzuty. Ale człowiek doprawdy ciekawem jest stworzeniem. Żałuje najwięcej tego, co już stracił, a kiedy ma je blisko w obecności swojej, zachowuje się obojętnie, lub zimno.

— Pewnego dnia, było to rano, w chwili, kiedy wracałem z klubu, gdzie przepędziłem noc całą na przegraniu sumy, która staćby się mogła szczęściem całej rodziny, zastałem na mojem biurku telegram miejscowy od R. ver. Jeżeli przeszukiwano moje pa- piery, musiano go odnaleźć, bo pamiętam, że zachowa- wałem go. R. ver w kilku słowach błagał mnie o natychmiastowe przybycie do siebie. Dreszcz nie- spokojny wstrząsnął mną. Miałem przecucie, że stało się coś bardzo ważnego, lub może nawet niebez- piecznego dla mojego przyjaciela. Pismo na tej pneu- matycznej kartce drzące było i zmienione do nie- poznania. Byłem wściekły na siebie. Depesza ta oczekiwała na mnie już dzień cały, podczas kiedy ja bawiłem się w najlepsze. Kto wie, co do tego czasu stać się mogło!

Gdybym był, udawszy się na bulwar Clichy, za- stał Rovera nieżyjącego już — byłbym sobie czynił gorzkie wyrzuty całe życie. Wiadomość o zamordo-

waniu była dla mnie strasznym ciosem, ale przynaj- mniej w tym kierunku nie mam sobie nic do zarzu- cenia! Przeczytawszy tę nieszczęsną kartkę, wy- biegłem na ulicę, wskoczyłem do dorożki i kazałem się co koń wyskoczy zawieźć do mieszkania R. ver. Na schodach spotkałem panią Moniche, go podnię- jego.

— Ah! — zawołała, uirzawszy mnie — Idzie pan odwiedzić pana R. ver. Przepędziłem noc straszną. Byłam pewna, że ten biedny pan rana nie doczeka.

— Czy stało się jakie nieszczęście? — zapyta- łem niespokojnie.

— No, teraz jest już lepiej.

Dowiedziałem się, że dnia poprzedniego R. ver dotknięty nagle został atakiem sercowym, który na szczęście nie potrwał długo. Jak tylko przyszedł do przytomności i mógł utrzymać pióro w ręce, pomimo zakazu doktora wysłał depeszę do mnie. Czekala ona na mnie tyle godzin niestety. Kiedy oznajmiono mu o mojem przyjeździe, zażądał, abym natychmiast wszedł do jego pokoju. Byłem silnie wzruszony. Ten czło- wiek, zawsze panujący nad sobą, zimny i mało- mówny, wyciągnął do mnie ramiona i obejmując mnie serdecznie — zapłakał gorąco.

— Oh! Ty! Ty! — szeptał mi do ucha — Ty! Gdybyś wiedział! Gdybyś ty wiedział!

Głos jego pełen łez i smutku poruszył do głębi moje serce. Byłem tak wzruszony, że nie mogłem się zdobyć na żadne słowo. Rysy jego twarzy, za- zwyczaj energiczne i spokojne, miały w sobie jakiś przyniatający wyraz dziecięcego zmieszania i lęku. Z oczów, szeroko otwartych, płynęły grube łzy, zna- cząc szare bruzdy na twarzy.

— Jakże ja na ciebie czekałem... Jakże czeka- łem... Dzień cały i noc...

Powtarzał kilkakrotnie to zdanie z dziwnym upo- rem. Po chwili beśsilnie upadł na poduszki. Nagła duszność, spowodowana widocznie wzruszeniem, tłumiła jego oddech i przyspieszała bicie serca. Mój widok przypominał mu straszny lęk tej długiej nocy, gdyż sądził, że umrze, nie porozumiawszy się przed- tem ze mną.

— Bo, wiesz, ja ci mam coś powiedzieć — pod- jął znowu gorączkowo — zwierzyć ci całą tajemnicę mojego życia... Czuje, że to już koniec... Ty jeden wiesz, że musisz...

— Upokój się — prosiłem — niema nic naglą- cego. Wzruszenie cię męczy... Później, kiedy więcej sił nabierzesz...

— Nie, nie! — odparł nerwowo, potrząsając głową — Teraz! Teraz musisz wszystkiego wystu- chać, później może być za późno.

Leżał wyciągnięty na obszernej otomanie, gdzie zwykle przędzał długie godziny, czytając książki i dzienniki. Ujął mnie za rękę i kazał mi usiąść.

— Ja wkrótce umrę, Jerzy. — rzekł smutnie — Byłem pewny, że dziś w nocy skończę się wszystko. I tak cię wołałem, tak pragnąłem cię widzieć po raz ostatni. I wiesz, gdyby się to było stało tej nocy, stałaby się pewnej istocie wielka krzywda. Nie otrzy- małaby bowiem matki mojego, który jej się prawnie należy... Bo widzisz, Jerzy, ja... ja mam...

Urwał wyczerpany i głos jego słaby przechodził w szept stłumiony. Spojrzał błędnie wokoło i wy- czytał w jego oczach lęk, aby ktoś nie podsłuchiwał naszej rozmowy.

— Możesz mówić spokojnie — rzekłem — tu niema nikogo oprócz ciebie i mnie.

— To dobrze. — wyszeptał z ulgą — Ja mam córkę, Jerzy...

— Córkę? — zawołałem zdziwiony, nie mogąc ukryć zdumienia, jakie ta wiadomość wywołała we mnie.

— Tak, córkę. Nawet przed tobą, który znasz całe moje życie, ukrywałem to do ostatniej chwili. Nikt o tem nie wie! Nikt. Strzegłem do drzwi tej drę- czącej mnie tajemnicy. Mam córkę, która mnie ko- cha gorąco, a która nie ma prawa wyjawiać mi ca- łego swojego przywiązania, tak, jak mnie nie wolno nadać jej swojego nazwiska. Czy ty to rozumiesz, Jerzy? Młodość nasza! Cięży ona teraz na mnie całym okrutnym ciężarem. Zylem z ciebie, Jerzy, tak, jak i ty. Miałem niejedną kaprys, fantazję, popełniałem różne szaleństwa, a nie umiałem stworzyć sobie uczciwych obowiązków. Pamiętaj o tem, że przychodzi na każdego człowieka czas, w którym żyje tylko dla obowiązków dobrowolnie na siebie nałożonych. Gdy- bym o tem wcześniej wiedział, byłbym miał teraz dom swój własny, rodzinę, istotę drogą obok siebie, a w zamiar tego, cóż mam teraz, co miałem w la- tach ostatnich? Samotność, pustkę, i to przywiza- nie, którego przed ludźmi wstydić się muszę i które nawet przed tobą, moim jedynym przyjacielem, lat

tyle ukrywać musiałem. Jerzy, czy mi przebaczysz, że nie byłem dotąd całkiem szczery?

Wziąłem jego rękę i uściśnąłem ją mocno.

Nie mogę mieć do ciebie najmniejszego żalu — odparłem — bo wierzę, że nie czyniłeś tego z własnej woli, lecz tak być musiało.

— Tak być musiało — powtórzył — tak być musiało przez wzgląd na nią. Na nią jedynie!

Jerzy Montin przerwał swoje opowiadanie. Wspomnienie to wzburzyło go i zmęczyło.

Pan Ginory, widząc jego niezwykłą bladłość twa- rzy i osłabienie, podszedł do szafki, stojącej pod oknem i powrócił z szklaneczką, napełnioną winem.

— Niech pan to wypije. — rzekł dobrotliwie — Te wszystkie przejścia podkopały organizm pana.

Montin posłuchał jego rady i odpocząwszy chwilę, znowu zaczął mówić:

— Tę rozmowę z R. verem pamiętać będę, aż do ostatniej chwili mojego życia. Wszystkie słowa jego są tak żywe w mojej pamięci, jak gdybym je dziś dopiero usłyszał. Jestto jedno z najgłębszych i najsmutniejszych wspomnień moich. A przytem, każde słowo jego bolało mnie, jakgdyby mi kto szty- let zapuszczał w serce. To wszystko co wycierpiał mój biedny przyjaciel w samotności swojej, ja prze- żywałem równie silnie, ale napróżno.

I oto w tej niezapomnianej chwili R. ver zwie- rzył mi tajemnicę, którą tak długo ukrywał prze- demną, a ja w zmian złożyłem mu przysięgę, że jej nie wyjawię nikomu. Dla tej przyczyny, panie sędzio, mówić nie chciałem, zasklepiłem się w upornem milczeniu, nie chcąc narażać nikogo, ani żyjących, ani tego, co już nie żyje, nie chcąc ich narażać na złośliwe uwagi ludzi, od których tylko potępienia mógł się spodziewać.

— Tak, teraz rozumiem... Zaczynam rozumieć — szepnął pan Ginory, niemniej przejęty od Jerzego Montin.

— Przysięgałem Roverowi zachować do śmierci tę jego smutną tajemnicę. Miałem ją tylko wyjawiać jej, jej jednej.

— Któż ona jest?

— Jego córkę!

Wtedy pan Ginory przypomniał sobie „dame w czerni“, która, według zeznań pani Moniche, nie- kiedy odwiedzała byłego konsula i o której rozeszły się tak romantyczne wieści, nowarte sensacyjnymi artykułami reportera. Pawła R. dler.

— No i ta córka? — zapytał po chwili sędzia.

— Nosi nazwisko ojca, które prawo jej nadało — odparł z goryczą Jerzy Montin — nazwisko sławne i znane ogólnie, nazwisko wysokiego wojskowego, będącego już na emeryturze. Mieszka on na prowincji ze swoją żoną i kocha tę córkę, nie wiedząc, że to nie jest dziecko jego rodzone.

— A matka?

— A cóż? Matka żyje dalej z mężem swoim, pielęgnuje go, otacza staraniem zrodzonym z ciężkich wwrzutów sumienia, ale tym sposobem zachowuje wszelkie pozory kochającej żony i matki. Mąż jej nie domyślał się nigdy niczego.

— A córka?

— Córka od lat paru została sama uświadomiona przez matkę, która niebezpiecznie się rozchorowała. Będąc przekonana, że umrze, zwierzyła córce ta- jemnicę jej pochodzenia. Spowiedź ta, uczyniona przed własnem dzieckiem, była jej pokutą i z dość czynie- niem dla niespokojnego sumienia. Wtedy to, za rozkazem matki, młoda dziewczyna zaczęła od czasu do czasu odwiedzać swojego prawdziwego ojca. Lecz przez pietyzm dla człowieka, którego nazwisko od urodzenia nosi, szlachetna dziewczyna zachowała głęboko w sercu wyjawioną tajemnicę, wyrzekła się na zawsze małżeństwa i dni całe poświęca się tam- temu, przykuta do jego pokoju, osadzając mu go- rącem przywiązaniem cierpienia fizyczne, którym uległ na starość.

— Więc ten człowiek jest chory?

— Sparaliżowany od lat kilku, utracił władzę w nogach i potrzebuje troskliwej opieki.

— Ah! — szepnął pan Ginory po dłuższem mil- czeniu — To dla tej przyczyny pan tak uparcie mil- czał, panie Montin?

— Tak, panie sędzio.

Pan Ginory był głęboko wzruszony tym prostym, a tak wstrząsającym dramatem rodzinnym. Jasność jakaś opanowała umysł jego, widział teraz wszystko i rozumiał doskonale. Ogarnęło go nagle uczucie wstydu, że tak źle mógł osądzić tego człowieka, który z zaparciem się siebie, gotów na wszelkie osta- teczności, chciał do ostatniej chwili ochronić pamięć drogiego przyjaciela.

— Przepraszam pana, panie Montin! — rzekł z prostotą, wyciągając rękę.

Twarz Montin'a rozpromieniła się wewnętrznem